

AMERYKAŃSKA NOC

Wylądowaliśmy na ziemi przyobiecanej i rozejrzałem się dookoła szeroko otwartymi oczyma, lecz widziałem w zasadzie tylko ściany. Wszędzie widniały znaki z rozmaitymi zakazami, a jeden z nich zakazywał plucia. *No spitting.*

Przeleciałem przez kontrolę paszportową na lotnisku Kennedy'ego, a Manni, mój towarzysz podróży, utknął w kolejce. W ambasadzie w Islandii kazano nam wypełnić formularze. Mieliśmy odpowiedzieć na pytania, czy chorujemy na jakieś choroby zakaźne, czy jesteśmy narkomanami, czy braliśmy udział w prześladowaniu Żydów albo byliśmy członkami ruchu komunistycznego. Na to ostatnie Manni odpowiedział twierdząco; kiedyś w młodości wziął udział w kilku zebraniach maoistów. Wtedy był już po romansie z ba-haizmem i zaczynał flirtować z towarzystwem filozoficznym. Z powodu tej wzmianki o maoistach wbito mu jakiś stempel do paszportu i dlatego musiał się gęsto tłumaczyć, przechodząc przez Złote Wrota do Stanów. Usiłował przybrać minę, jakby był prześladowany; rozpierała go duma, że jest taki ważny. Uduchowieni ludzie wszędzie spotykają się z podejrzliwością. My, pozostali, nikogo nie obchodzimy.

Pojechaliśmy metrem na Manhattan i uważaliśmy się za szczęśliwych, bo po drodze ani nas nie pobito, ani nie okradziono. Staliśmy zdenerwowani, trzymając się skórzanych rączek i kierowaliśmy nasze spojrzenia to tu, to tam. Szczęśliwi, że dotarliśmy na miejsce, zameldowaliśmy się w hotelu. Ja poszedłem pod prysznic, a Manni szperał i grzebał we wszystkim, czyli w niczym.

Tu, po zachodniej stronie oceanu, mieliśmy zamiar spotkać się z moją babcią. Babcią Gogo. Kobieta, której pewno nigdy nie znałem. Mieszkała daleko, gdzieś w głębi kontynentu, tysiąc albo i dwa tysiące kilometrów stąd, w pobliżu wielkich rzek. W liście, który przysłała do mojej prababci ponad rok wcześniej, podała nazwę jakiejś wsi czy hrabstwa. Ja miałem z sobą ten list; nie było to nic dokładnego, a kobieta ciągle się przenosiła. Lecz bawił tu także mój przybrany brat Bobo i być może on mógłby nam pomóc; miałem numer jego telefonu i jakiś adres w New Yorku. Zadzwoniłem natychmiast, jak tylko z owiniętą ręcznikiem głową wyszedłem z łazienki. Ale nikt u niego nie odbierał.

– Niezbyt udany początek – powiedział Manni i zaczął sapać i jęczeć. To on sprzedał swoje obligacje i opłacił większość czeków podróżnych dla nas obu. Teraz zaczął powątpiewać, czy dobrze spożytkował te pieniądze. Z drugiej strony nie było powodu, żeby od razu rozpaczać, więc rozłożyliśmy na podłodze plan śródmieścia. Tu my jesteśmy, krzyżyk. Tuż obok budynku Pan Amu. Ulice ponumerowane niczym alejki na cmentarzu. Postanowiliśmy przejść się na Broadway.

W powietrzu unosił się zapach ludzi; zapach organiczny, zmieszany z odorem spalin i aromatem mocno wysmażonych befsztyków. Domy były zbyt duże,

by je dostrzegać. Z każdej strony otaczały nas ściany, a u góry błękitniało niebo. Na mokrych od deszczu ulicach trąbiły samochody. Oglądaliśmy niektóre wystawy i Manni się wkurzał, że tu normalnie nic nie jest tańsze niż u nas. Chciał sobie kupić maleńki magnetofon, taki sprzęt szpiegowski, w celach badawczych, strasznie jednak krzyczał przed oknami wystawowymi, a kiedyśmy odchodzili, często gęsto potrząsał głową. Dlatego też kupiliśmy sobie w kiosku z gazetami przy chodniku po jednym notesie zbindowanym drutem i prostym długopisie; spodobał mi się pomysł, żeby notować w punktach to, co miałbym zapamiętać, a potem napisać artykuł na temat podróży do czasopisma lub dodatku weekendowego. Usiłowałem rozejrzeć się wokół, opatnować kierunki, wyrobić sobie pogląd – ale bez skutku.

Niedaleko wznosiła się świątynia poczty. Piękny budynek pamiętający czasy świetności Aten z doryckimi czy jońskimi kolumnami, zwieńczony napisem U.S. Mail. Weszliśmy na górę po marmurowych schodach, po czym usiedliśmy na posadzce i rozejrzeliśmy się wokół. Na ulicy pod nami zderzyły się dwie taksówki i dobiegał stamtąd jakiś rumor i krzyki. Potem ktoś puknął mnie w ramię pałką i ujrzałem nad sobą faceta w mundurze. Siadanie na schodach zabronione. Wstaaliśmy i próbowaliśmy oponować, pytaliśmy, czy komuś przeszkadzamy, ale facet nawet nas nie słuchał. Odczekał tylko, aż znów znajdziemy się na chodniku, po czym zniknął w świątyni.

Jakiś czarny gość w okularach przyglądał się nam z dwuznacznym uśmiechem. Zapytał, czy zostaliśmy przegnani ze schodów. Tak, powiedziałem, tak oto dzisiaj wyglądają swobody obywatelskie.

– *It's no human rights, it's human fuck ups* – odparł. Następnie pokazał nam środkowy palec i zniknął w tłumie.

Poczuliśmy głód i wstąpiliśmy do smażalni kurczaków w centrum Manhattanu. Same plastiki, białe i żółte; krzesła, stoły, ściany, a wszystko pokryte warstwą tłuszczu. Po obu stronach lady kręciło się sporo ludzi, lecz ich wzajemne kontakty były jakieś sztywne. Manni zajął miejsce przy stoliku, a ja chciałem złożyć zamówienie przy ladzie, tyle że obsługa była czymś zajęta. Po chwili podszedł Manni, w milczeniu stanął obok mnie i powiedział, że boi się gościa, który łązi po knajpie i żebrze. Facet na oko miał jakieś trzydzieści lat, był wysoki i łysy jak jajo, głowa owinięta bandażem. Krążył w tę i w tę w sfatygowanych oficerkach i zbutwiałej skórawce i zaczepiał ludzi. Domagał się forsy. Uciekliśmy stamtąd, gdyby w tej samej chwili nie zwróciło się do nas ponure, z gruba ciosane dziewczę i nie zapytało, czego sobie życzymy. Wydukałem zamówienie, ale ona mnie już nie słuchała, ponieważ wszczęła awanturę z resztą personelu. W ten sposób zostaliśmy zmuszeni czekać strasznie długo, aż w końcu znów zwróciła się do nas i powtórzyła pytanie, jakby nie miała czasu się tym zajmować.

Kiedy w końcu udało nam się usiąść z wiktuałami przy obsmarowanym tłuszczem stoliku, wielki żebrak zabrał się za sprząatanie lokalu; zgarniał papierowe talerzyki i serwetki i wyrzucał je do kosza. Porwał także nasze talerzyki z nietkniętym kurczakiem i wepchnął je wprost do kosza na śmieci. Manni protestował, ale na nic zdał się jego sprzeciw. Ulotniliśmy się więc, równie głodni jak przedtem, za to bardziej przygnębieni i rozgoryczeni.

Bobo mieszkał na Manhattanie. Obaj z Mannim zdążyliśmy zorientować się w tym prostym, krótkim systemie ulic tego miasta i zauważyliśmy, że to niedaleko stąd. A że powietrze na ulicy wpłynęło na nas ożywczo, ruszyliśmy do niego.

– Ciekawe, czy drogo mieszkać na Manhattanie? – spytał Manni. – Bobo pewno nieźle zarabia?

Nie byłem tego taki pewien. Ostatnio rozmawiałem z nim, kiedy dzwonił do Islandii jakieś dwa miesiące wcześniej i prosił, by przesłać mu rentę, którą dostawał za to, że urodził się bez kawałka jednej nogi. Powiedział wtedy, że żyje z gry w bilard, ale kto by mu tam wierzył?

Odległość okazała się większa, niż przypuszczaliśmy, a im bardziej oddalaliśmy się od centrum, tym bardziej zanikał światowy blichtr miasta. Domy coraz bardziej zrujnowane, a na jednym z podwórek między budynkami z kubła na śmieci buchały płomienie i unosił się czarny dym. Jakby to było całkiem normalne. Zwątpiliśmy już, czy dobrze robimy, zapuszczając się w te rejony, aż nagle jakimś zrzędzeniem losu odnaleźliśmy adres. Dom taki sam jak pozostałe: piętrowa, murowana ruina, pomalowana kiedyś, w zamierchłej przeszłości.

Chcieliśmy wejść po schodach i zapukać, może zadzwonić, ale przed domem na taborecie siedział facet w średnim wieku w zasyfiałym podkoszulku i sączył piwo. Brzydki, wymięty i złowrogi. Schrypniętym, ostrym głosem spytał, gdzie, do cholery, się pchamy.

Usiłowaliśmy wyjaśnić cel naszej wizyty, grzecznie i sensownie, ale on absolutnie nie chciał się zgodzić, byśmy włązili na schody. Nie ma o czym gadać! Nie, tam żaden Bobo nie mieszka. A tym bardziej jakiś Halldor Halldorsson. Zdezorientowani i zdziwieni przestępo-

waliśmy z nogi na nogę i już mieliśmy zmyć się stamtąd, czapkując przed nim, jakby to mogło nam pomóc, wtedy jednak facet się udobruchał, powiedział że wynajmuje tu chłopiec z Islandii, ale Mr. Jonsson, student. Czasem jest nawet jego gościem; to pewno ten, którego szukamy. Chromy.

– Nie, teraz ich tu nie ma. I ja nic o nich nie wiem! – Po czym wstał i poinformował nas, że Mr. Jonsson ma zakaz przyjmowania gości.

– Jak to, to Bobo go nie gościł? – spytałem, lecz facet nie odpowiedział. Ruszył schodami w górę, stukając drewnianą nogą.

Wieczorem udało mi się dodzwonić do Bobo. Miał krótki oddech i był nieco skwaszony, ale zawsze tak brzmiał przez telefon. Jakby znudzony tym ciągłym naciągactwem. Ale miłych słów nie szczędził, chwalił nas za werwę i przedsiębiorczość, która w końcu kazała nam pokonać wielką wodę. Zuchy! Manni też? A co, rozdawali darmowe bilety?! Nie?

Mówił do nas jak do małych dzieci, chociaż zauważyłem to dopiero, gdy odłożyłem słuchawkę. Może należało przypomnieć mu, że jesteśmy o trzy lata starsi od niego. No, ale tutaj on był u siebie. Chciał koniecznie spotkać się z nami, nawet to w pewnym sensie zaplanował. O drugiej po południu na ławce w Central Parku, taka to a taka ławka. Mieliśmy ją odnaleźć według dość skomplikowanego planu. Notowałem jego wskazówki w moim nowym notesie, z pewną nerwowością, aż w końcu Bobo zapytał:

– Zanotowałeś, bobasku, czy może mówię za szybko?

Następnego ranka obudziliśmy się z Mannim o wpół do szóstej, wypoczęci. U nas już był dzień; nie zdążyliśmy się jeszcze przyzwycząić do różnicy czasu. Koło szóstej wyszliśmy na spacer po lśniących poranną rosą ulicach i Manni powiedział, że łazimy tak wcześnie, więc wszyscy myślą, iż jesteśmy piekarzami.

Kiedy ruszaliśmy na spotkanie z Bobo, byliśmy już nieco spóźnieni, a chcąc to nadrobić, złapaliśmy taksówkę. Do Central Parku mieliśmy jakiś kwadrans na piechotę. Taryfa zaś, żółta i poobijana, jechała trzy kwadransy. Utykała w korkach, co jakiś czas posuwała się zaledwie o parę metrów, a taksówkarz gadał do siebie, że inni kierowcy to głupcy. Kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce, było wpół do trzeciej i zgodnie z otrzymanymi wskazówkami zaczęliśmy szukać ławki.

Wreszcie ukazał się nam mój brat Bobo. Siedział szykowny i odpicowany, w garniturze z kamizelką. Miałem wrażenie, że widzi nas z daleka, ale usiłował to ukryć; zatopił wzrok w ogromnej płachcie gazety, z ustami w ciup. Kiedy stanęliśmy nad nim, podniósł wzrok, jakby przypadkiem, ściągnął brwi i rzekł:

– Kochany bobasek!

Podaliśmy mu rękę i powiedziałem:

– Asmundur Grettisson, piekarz.

Manni przedstawił się jako Hermann Thorgnysson, mistrz piekarnictwa. Zawsze musiał być lepszy.

Postanowiliśmy iść do knajpy. Znaleźliśmy małą włoską restauracyjkę, pizzerię z pięcioma stolikami. Wszystkie były wolne. Zamówiliśmy trzy budweisery, które Manni natychmiast nazwał Budołajzą. Bardzo był

zadowolony z tego słowa, jak i generalnie z życia; wesoły walił Bobo w plecy i powtarzał jak to fajnie, że się z nim spotkaliśmy, pytał, czy dobrze mu się tu żyje. Bobo w końcu uśmiechnął się, wygładził ślady po dłoni Manniego na marynarce i odparł, że nadal czyta bez okularów, jeśli o to mu chodzi. Był nadzwyczaj pewny siebie.

– Do diabła, ale jesteś porcelanowy i obrzydliwy – powiedziałem, a on odparł beztrząsco:

– Na tym polega ten fach.

Przytył i zaczął siwieć na skroniach, choć miał dopiero dwadzieścia sześć lat. Ciemne, zaczesane do tyłu włosy przetkane były srebrnymi nitkami. Na palcu nosił sygnet i miał tik: ciągle pukał sygnetem w stojącą na stole szklankę; cały czas dzwonił o nią i wyglądało na to, że to jedyna cecha, jaka pozostała po tym wrażliwym i znerwicowanym człowieku, którego znałem całe życie.

Manni był nad wyraz wesoły; śmiał się z wszystkiego, co mówił Bobo, patrzył na niego i w kółko powtarzał:

– To genialne! To po prostu genialne!

A Bobo w końcu dał się sprowokować. Wypił jeszcze kilka piw, przestał stukać sygnetem w szklankę, a gdy usłyszał, że mamy zamiar odwiedzić babcię i wujka Baddiego w celach badawczych, zaczął snuć opowieści o rodzinie.

Wiele z tych opowieści znałem lub sam ich doświadczyłem, ale Bobo we wszystkim dostrzegał jakieś nowe płaszczyzny. Innych z kolei nigdy wcześniej nie słyszałem, na przykład historii o tym, jak jakieś trzy, cztery lata temu Bobo wrócił z północy samolotem do Reykjavíku:

– Grettir, mój ojczym – Bobo zawsze mówi o tacie z jakimś przekąsem – wyjechał po mnie na lotni-

sko. Stał taki biedny. Ładnie to było z jego strony, że po mnie przyjechał, ale od razu wydał mi się jakiś taki skurczony, zgięty i niemrawy. Bardziej niż zwykle. Myślałem, że hetera, znaczy mama, znowu znęcała się nad nim, jak zawsze zresztą. No, jedziemy do domu i pytam go, czy wszystko w porządku, a cały czas czuję, że coś się stało. W końcu on mówi: Aj, teraz to po prostu katastrofah!, mówi stary, po prostu katastrofah! – tak jak to on potrafi powiedzieć. Charczy, o tak, i wyduśsza z siebie: Wpadła do nas któregoś dnia teściowa, Gogo, twoja babcia. Cóż to za bezczelna zdzira! Słuchaj, wiesz że ta ściera zełgała, że chciałem ją zerznąć! Co ty powiesz?! – ja na to. Noh! Słuchaj, Czarna Lilli miała sześćdziesiąte urodziny i obchodziła je na lotnisku w Keflavíku, i pojechały tam razem, twoja mama i Gogo, twoja babcia. I dalej! Zaproponowałem, że je podrzucę. Jedziemy. Lało i ziąb był siarczysty, bo to już listopad. Takh! Wracam do domu i spokojnie odpoczywam sobie, oglądam telewizję i w końcu mam zamiar się położyć, dochodzi pierwsza, jeszcze tylko czekam na prognozę pogody w radio i nagle ktoś puka! I słuchaj! To ona, twoja babcia Gogo, pijana zaraza. Olana przez deszcz. Nie mam pojęcia, jak toto dostało się do miasta! A twojej mamyh nie widać! No to wpuszczam ci ja toto do chaty, chcę kawą poczęstować i takie tam, zawsze to lepsze niż żeby zdechło z zimna. I oto wdzięczność: łże twojej mamie, kiedy ta wraca nad ranem, że ja chciałem ją zerznąć! Do diabła stary! A co na to mama? Mama?! Wychłwała pół flakonuh nerwosolu! W szpitalu miejskim wypłukano jej to z żołądka, a potem leżała tam przez tydzień! U czubków! Może to jej dobrze zrobiło? Tja, no nie wiem. Teraz to mówi, jakby po prostu była na

jakimś... jakimś... eee, kursie! Ale przynajmniej wie wszystko o leczeniu czubków!

W tym momencie Manni spadł z krzesła, tak się śmiał. Płakał ze śmiechu, pąsowy na twarzy. Niewiele brakowało, a dostałby drgawek. Mnie to aż tak nie śmieszyło. Odniosłem wrażenie, że opowiadając dowcipy o tacie, Bobo chce mnie poniżyć. Właściwie wyłączyłem się z tej dyskusji. Ale Manni i Bobo byli nieopanowanie weseli; Bobo naturalnie cieszył się, że jego opowieści padają na podatny grunt, a Manni też musiał coś opowiedzieć. Wybrał historyjkę, którą słyszałem z tysiąc i jeden raz, jak to w zeszłym roku wybrał się na bal do hotelu Borg, jakoś tak zaraz zanim wujek Baddi wyjechał do Ameryki; stanął w kolejce przed wejściem i wtedy zauważył wujka Baddiego, który przycupnął gdzieś jak zdołowany żul. Facet, który najwyraźniej nie ma czego szukać na balu wśród zwykłych, kulturalnych mieszczan.

– Tak mi się skojarzyło – wyjaśnił Manni – kiedy zobaczyłem tego obdartego przystojniaka, którego nie wpuszczono do środka, więc mu mówię: Baddi! Największy twardzielu w kraju! Zapraszam cię na bal do hotelu Borg! A wtedy odzywa się Baddi: Manni, nic się nie stało. Daj se spokój. *Let the good times roll!*

Let the good times roll! A jakie nadzwyczajne im się to zdawało! Tak brzmiało co drugie zdanie, które wypowiadali; kiedy zamawiali piwo u barmanki, kiedy musieli pójść do klopa, poprosić o ogień. *Let the good times roll!* To już mnie zaczynało nudzić, usiłowałem ziewać i spoglądałem na zegarek. Lecz oni byli purpurowi z radości. W końcu wyciągnąłem list od babci i spytałem

Bobo, co sądzi, czy uda nam się ją znaleźć na podstawie adresu z listu.

Do Karoliny Klaengsdottir

Kochana mamó. pare linijek byś wiedziała co u nas jest nam dobrze ale Baddiemu ckni sie tutaj za dziećmi i Sirry to normalne. nieładnie słyszeć że wszyscy ścigali go polycją a on był na ulicy. Bóg napewno go pomści. wyjmuję już ostatnie zemby a nowe dostanie za 2 miesiące, żałuję że tak cierpi i mam nadzieję że wszystko się ułoży między Sirry a nim on jest taki wrażliwy i opiekuńczy. poza tym wszystkim dobrze przeprowadziliśmy się do miasta bo stąd ja i klara mamy kručęj do pracy. mam nadzieję że wszystko w domu w porzondku twoja córka Gogo Baddi Klara i Bella

Bobo zaśmiał się głośno dwa, trzy razy, gdy czytał list, lecz po chwili spowaźniał. Smutny potrząsnął głową i powiedział:

– I to ma być moja bliska rodzina.

– Moja babcia powiadała o zachodzie słońca – zaczytowałem klasyka, a Bobo odrzekł:

– Ty i te twoje starożytne mądrości.

Manni patrzył to na jednego z nas, to na drugiego, po czym doznał olśnienia. Bobo po prostu pojedzie z nami na Zachód, nad wielkie rzeki, szukać babci i Baddiego. Kurde, ale by było świetnie, stary!

Nie zachwycił mnie ten pomysł. To by tylko skomplikowało wszystkie sprawy. Z radością uczepiłem się słów Bobo o tym, że już go nudzi cała ta banda, ta jego rodzina.

– Ale to są badania, stary! – upierał się Manni. – Studia antropologiczne!

– Studia antropologiczne? – zainteresował się Bobo i spojrzał na Manniego; w jego oczach czaił się cień ironii. Ale potem się zastanowił i powiedział, że oczywiście fajno byłoby się zabrać, ale w tej chwili kieszko stoi z forszą; ciężko z gotówką.

Manniemu płonęły już oczy i nie chciał słyszeć o żadnych wątpliwościach. W swojej szczodrości proponował, że wyłoży więcej forsy niż do tej pory: Bobo, pożyczę ci na autobus. Kupię bilet ważny pół miesiąca, taki jaki mamy z Mundim. Można na niego podróżować bez ograniczeń i dokąd się chce. Zupełnie jak Inter-rail!

Następnego wieczora siedzieliśmy we trójkę na tylnym siedzeniu greyhounda z osiemnastoma piwami i mieliśmy przed sobą dwudziestogodzinną drogę. Śpiewaliśmy jak harcerze:

– *New Jersey turnpike, in the wee wee hours...*

Za oknami wisiała gigantyczna amerykańska noc.

Mijaliśmy światła samochodów. I oświetlone fabryki spowite gęstą zasłoną dymu, płaską ziemię, rozpościerające się równiny, tu i ówdzie rozsiane domy, słupy wysokiego napięcia, a potem pojawiała się na niebie przed nami luna i kolejne miasto wyrastało z ziemi; więcej samochodów i ludzi, i domów, i ryk silnika, lepki szum opon dotykających asfaltu; czasem wsiadali ludzie, i zaspani, i rozbudzeni, ludzie z kreacjami na wieszakach w workach plastikowych, biedacy z wielkimi tobołkami, młodzież z torbami sportowymi; niektórzy szli do nas do tyłu, bo tam wolno było palić, a nad wszystkim unosiła się woń spirytu z toalety na końcu pojazdu z błękit-

ną wodą w skrzyni; potem odstęp, a przed nim śpiący i rozwiązujący krzyżówki. Czasem kierowca odczytywał nazwę następnego przystanku, lecz słysząc było jedynie ostatnie słowo i pierwsze, a między nimi monotonne samogłoski, jakby mnich śpiewał. I my we trójkę z tyłu, weseli i rumiani, a może i trochę wystraszeni tą jazdą w nieznane.

Kiedy przyłączył się do nas Bobo, poczułem się jak statysta. Perorował, opowiadał, przerywał nam obu bez pardonu, precyzyjnie dobierał słowa, był błyskotliwy, a Manni się śmiał; niemniej byłem zaskoczony paplaniem Bobo. Nigdy nie był taki wesoły, teraz zresztą też nie; pod tą fanfaronadą czaił się jakiś inny ton. Czasami i ja śmiałem się, patrzyłem mu w oczy i czułem, że kłują. Zwłaszcza Manniego udawało mu się podejść. Mówił coś znienacka, sugerował coś, co powinno go poruszyć do żywego, ale Manni zdawał się tego nie słyszeć, śmiał się rumiany i potrząsał głową.

Gdziekolwiek byśmy nie przyjechali, Bobo mówił w naszym imieniu, był największy, najlepiej ubrany, a poza tym posługiwał się językiem jak urodzony jankes. Ale i tak najważniejsze były jego opowieści. Siedział między nami na tylnym siedzeniu autobusu, rozwalony, i opowiadał o rodzinie, tej hołocie, która go już znudziła. Babcia Gogo, to ci dopiero nadzwyczajna baba, stary. Pamiętasz, Mundi, jakie to było niezwykle mieć kogoś w Ameryce, co?

– Kiedyś to było elegancko – babcia za granicą, w tym raję po zachodniej stronie oceanu, tam, gdzie produkowano kartony z gumą do żucia. Pamiętam, jak miałem jakieś piętnaście lat i pojechałem z drużyną snookera do Danii, z taką jakby reprezentacją młodzieżową...

– Pamiętam – wtrąciłem – mama kazała mi podpisać weksel na czek podróżny, który potem...

– Dobra, dobra – wnerwił się Bobo – głównie to ma do rzeczy! Ale wtedy babcia mieszkała w Kopenhadze, a to była korzystna okoliczność, bo mogliśmy oszczędzić na moim zakwaterowaniu, lokując mnie u babci. Mama zadzwoniła, a babcia uważała to za oczywiste. Bobo! On może zostać u mnie, jak długo tylko będzie chciał; taktaktaktak, kochanie ty moje! Ale na to, żeby odebrać mnie z lotniska, to jakoś czasu nie miała, bo musiała być w pracy; ale zostawię otwarte i chłopak będzie mógł sobie po prostu wejść i czuć się jak u siebie w domu! Pamiętam, że na Kastrupie planeta strasznie żar kopsała i było gorąco, ale też trochę wiało. Ludzie mówili: ale z ciebie szczęściarz, że masz tu babcię; większość chłopaków miała mieszkać odpłatnie w domach u obcych ludzi, a kierownictwo ekipy w hotelu. Taryfy zabrały nas z lotniska. Ja pierwszy wysiadłem ze swojej, bo babcia mieszkała na Amager. Zajechaliśmy na właściwą ulicę, Holmbladsgade, dziurawą i obrzydliwą: wszędzie bary i dookoła sami pijani, tu i ówdzie sklepy kolonialne w starym stylu z puszkami na półkach za ladą i nadpsutymi owocami w skrzynkach od strony klienta. Nasz drogi Bobo, pytali kierownicy drużyny, jesteś pewny, że dasz sobie radę? Tu jest dom, powiedziałem wskazując na wysoki, brązowy mur z cegły. W tym momencie taryfa zniknęła. Co za klatka schodowa! Miałem wątpliwości, czy da się bezpiecznie stąpać po tych starych, zbutwiałych stopniach. Ściany płakały wilgocią. Skierowano mnie na trzecie piętro. Na obojgu drzwiach były wizytówki, ale żadna z imieniem babci. Pukam do jednych i słyszę tylko ujadanie psa. Usiłuję

otworzyć, a wtedy pies wpada w szal. Zamknięte na klucz. W drugich drzwiach zjawiała się stara, wystraszona baba. Próbuję zapytać łamaną duńszczyzną, ale stara kręci tylko głową i mówi coś, czego nie rozumiem. W końcu pokazuje na górę. Na schody. *Er dette tredje højde?* – wyduszam z siebie. A ta dalej kręci głową i pokazuje do góry. No to idę z walizką na czwarte piętro. I tam to mieszkała babcia. Herbor, Gogo i Rasmus. Nie wiedziałem, co to za ludzie ten Herbor i Rasmus, ale rzadko zdarzało mi się bardziej ucieszyć na widok imienia babci. Pukam, popycham skrzypiące wrota i oto znajduję się w norze z trojgiem drzwi. Niech Bóg błogosławi temu domowi – makatka z islandzką farmą wisi na ścianie naprzeciwko mnie. Z tym mogłem się zgodzić. Jakiś facet w nieokreślonym wieku chrapał na sofie w salonie. Kiedy tylko zauważył moją obecność, usiadł i długo mlaskał, po czym przetarł oczy i zapiął koszulę flanelową. W środku półmrok; promienie słoneczne prawie nie przedostawały się przez brunatne story. Zgrywałem wesołego i naturalnego, przedstawiłem się facetowi, ale wyglądało na to, że nic go nie interesuje. Na ścianie wisiało tylko jedno zdjęcie przedstawiające Geysir w Haukadalurze, w czarnej, żałobnej ramce. W kuchni cuchnęło pleśnią. Facet przyniósł sobie piwo z małej, wywrotnej lodówki i fachowo otworzył flaszkę o kant stołu. Poczułem dla niego pewien rodzaj szacunku. Potem podreptał do salonu, odsłonił zasłony i usiadł. Wypił piwo i zdało mi się, że ożył. Zaczął zadawać pytania, nie bez pewnej dozy przyjaźni. Na oko miał gdzieś koło czterdziestki, rzadkie włosy i był chudy jak tyka. Mormor, zrozumiałem, *din mormor er pa arbej-de. Ja? Ja.* Potem zamilkliśmy. Kiedy wkładał buty, znów

o coś mnie wypytywał, a ja potakiwałem, *ja, ja*, natomiast on ciągle zadawał pytania, dopóki nie wyłowilem z jego oracji słów *komme med ud. Jeg? Ja, kom med*. Nie wyglądaliśmy na ojca i syna. Kroczył po chodniku, a ja obok niego. Z nerwów prawie że biegłem. *Er du Rasmus*, udało mi się zapytać. *Ja*, odpowiedział. On mnie o imię nie zapytał. Ciężkie, skrzypiące wrota ustąpiły i znaleźliśmy się w ciemnej knajpie. Bar i miliony flaszek. Sztynk jak w beczce z piwem. Nigdy jeszcze nie byłem w tak grzesznym miejscu, więc ogarnął mnie jakiś lęk. Ku wielkiej uldze usłyszałem radosny, ochrypły śmiech babci. A potem się objawiła. Wychynęła z cichej krainy rozbrzmiewających w powietrzu przebojów tanecznych; pojawiła się z szelestem i pocałowała mojego kompana w głowę. *Rasmus min skat!* Miała na sobie bluzkę w róże i spódniczkę z trawy. Potem zauważyła mnie i przytuliła tak, że aż zatkał mnie odór jej perfum. Powiedziała: Witaj w barze Hawaje! Była tam *servitrisq*, moja babcia we własnej osobie. W spódniczce z trawy. W jednej z najohydniejszych knajp miasta. Dwóch jednorękić bandytów, takich automatów do gry z ramieniem i pierścieniami obrotowymi, zajmowało jedną ścianę, a przy nich na okrągło sterczały te same baby w płaszczach, grały w milczeniu na tych idiotycznych skrzynkach od rana do nocy. Siedzieli tam też alkoholicy i dzielnicowi wdowcy, popijali Hof przy barze, a babcia z nimi flirtowała. Była oczywiście znakomitą siłą roboczą! Ten Rasmus, łachudra z defektem mózgu, siedział cały dzień przy stoliku, kładł kabałę i uwałił się za jej pensję. Pomyślcie tylko. Mieszkalem u tej hołoty dziesięć dni. Żarłem w barze jakiś cholerny duński *smørrebrød*. Do tego jeszcze człowiek musiał ciągle bawić się w cho-

wanego, żeby kumple z drużyny nie odwiedzili mnie u babci. Wtedy to człowiek nie miał jeszcze tej pewności siebie co teraz; gdyby drużyna bilardowa zobaczyła, u jakiego to elementu człowiek pomieszkuje, to by była totalna klęska. Babcia w spódniczce z trawy!

Mniej więcej tak brzmiały te opowieści, którymi częstował nas Bobo, podczas gdy autobus mknął przez noc ciężko szumiąc; większość pasażerów spała. Słychać było tylko głos mojego przyrodniego brata, chrapawy i zadowolony z siebie, i popiskiwanie Manniego, który potrafił jedynie powtarzać w kółko te same frazy: To genialne. *Masterpiece*. Uhu! Dopóki Bobo nie zasnął, bo wtedy ja i Manni, nie mając o czym rozmawiać, także usnęliśmy.

Jakoś tak po południu zatrzymaliśmy się w przytulnym miasteczku. Pogoda była ładna, więc zdecydowaliśmy się opuścić autobus i spędzić tam część dnia. Powłóczyliśmy się trochę w okolicy dworca autobusowego, a Bobo bacznie rozglądał się dookoła; zauważył bar, w którym, według tego, co głosił szyld, można było zagrać w bilard i karty. Tam też usiedliśmy. Manni nadal był bardzo rozochocony, co drugie słowo wymawiał z amerykańską i to on poszedł złożyć zamówienie. To co, Budolajzy na stół? Podciągnął spodnie, które miały skłonności do opadania do połowy, tak że między kurtką a paskiem widać było górną część pośladków. Bobo patrzył na niego ze śmiechem w gałach, a gdy Manni ustawił się przy barze, Bobo zaczął drzeć z niego łacha.

– Kiedy on sobie sprawił tę świetną zieloną skórawkę? – spytał Bobo, a w środku aż trząsł się ze śmiechu.

Sam miałem na sobie skórzaną kurtkę, tyle że brązową, toteż odniosłem się do tego pytania z niejaką rezerwą.

– O co ci chodzi? Co w niej takiego świetnego?

– Wiesz, chodzi o to, że ona niezupełnie jest skrojona na takiego krągłego faceta. Obwisła w barach, za to nie zakrywa bańdziocha.

– No tak.

– Lepiej wyglądał w budrysówce. W kapocie. Co nie? Bardziej pasowała do jego charakteru. Z drugiej strony to *cosy*, że dalej ma w zwyczaju nie zapinać najniższych guzików koszuli. Tak że zawsze wystaje owłosiony kałdun.

Sam Bobo ściągnął marynarkę i siedział w koszuli i kamizelce naprzeciw mnie przy stoliku.

– Nie każdy może być tak elegancki jak ty – powiedziałem, ale on nic nie odpowiedział, bo w tym momencie Manni przyniósł puszki z baru.

Bobo spojrzał na niego i rzucił z ironią:

– Do diabła, aleś ty tłusty! – Po czym uszczypnął Manniego w brzuch. Bez wątpienia wiedział, że jest tylko jedna rzecz, której Manni nie lubi bardziej niż docinki na temat własnego wyglądu, mianowicie gdy ktoś go dotyka. Skrzywił się i zaczerwienił. A Bobo poszedł za ciosem i spytał, czy jego matka już tak zaczęła szastać resztkami puddingów i koniną. Ponieważ jednak słowa te wypowiedział Bobo, dla którego Manni żywił ogromny szacunek, więc właściwie zaczął prosić go o wyrozumiałość; spojrzał na mnie, jakby spodziewając się pomocy i rzekł:

– Chłopaki, nie prawmy sobie takich uszczypliwości.

I Bobo go usłuchał, przestał gadać na ten temat. Spytał tylko Manniego:

– Pożyczysz mi dwadzieścia dolarów, bobasku, bo chcę ograć tych tam patałachów w pokera? – Wskazał palcem najbliższy stolik, przy którym grało trzech facetów.

– Oczywiście. – Manni natychmiast skorzystał z okazji, by kupić sobie spokój i wręczył Bobo banknot. Ten zaś wstał, przycesał włosy grzebieniem wyjętym z tylnej kieszeni spodni, podszedł do facetów i powiedział:

– *How about dealing me in?* – Tu zamachał banknotem.

Obaj z Mannim byliśmy kompletnymi dyletantami, kmiotami. Bobo odpalił papierosa i podczas gry trzymał go między zębami w kąciku ust jak zawodowiec; odrzucał od siebie karty, nie zmieniając wyrazu twarzy. Siedzieliśmy w milczeniu i obserwowaliśmy przebieg rozgrywki, nie afiszując się za bardzo. W końcu ogarnęły nas nudy, poker to mało widowiskowa gra. Zaczęliśmy wymieniać uwagi na temat wszystkiego i niczego, aż nagle Bobo usiadł przy nas i spytał, czy nie ma więcej piwa.

Manni spojrzał na niego pytającym wzrokiem:

– A gdzie są pieniądze, które ci pożyczyłem?

– Przegrałem.

Kraśne lico Manniego pobladło. Wściekł się.

– Przegrałeś pieniądze? Co ty, myślisz, że stać mnie na to, żeby po prostu wyrzucać forsy w błoto...

– Przegrałeś piiii pieniądze?! – przedrzeźniał Bobo Manniego, wykrzywiając twarz. – Biedaczek z ubożuchnej rodziny! Coraz bardziej zaczynasz przypominać swoją mamusię, co za wynaturzenie! Może już i gorsety po starej zaczęłaś nosić?

– Po co od razu skakać sobie do oczu – powiedziałem, bo zauważyłem, jak zabolęło to Manniego. Ale Bobo trząśnął się z wściekłości, z całej siły uszczypnął Mannie-

go w oba policzki i zdzielił z bani w głowę. Potem szybko wstał, szurając krzesłem. Usiadł na wysokim stołku przy barze.

Siedziałem jak ogłupiały. Tak niespodziewany i gwałtowny był ten atak szału. Manni patrzył na mnie blady i mamrotał drżącymi ustami:

– Co go napadło?

Kiedy już posiedzieliśmy sobie z Mannim w milczeniu jakieś pół godziny, wstałem, podszedłem do baru i powiedziałem Bobo, że zastanawiamy się, czy nie ruszyć w drogę. Pokiwał głową, a kiedy odchodziłem, zawołał za mną:

– Pożycz mi parę groszy.

Wyciągnąłem mały zwitek, dwadzieścia, trzydzieści dolarów i chciałem mu odliczyć, ale on wyrwał mi wszystkie. Potem podszedł do tych, którzy przed chwilą ograli go w pokera, i zaproponował bilard. Kazał mi chwilę poczekać.

Zagrali dwie kolejki. Pierwszą Bobo wygrał z trudem, toteż za drugim razem podwyższono stawki. Wtedy zdruzgotał przeciwników, dając lekcję pokazową. A faceci po prostu rozdziawili gęby ze zdziwienia. Trochę ich to urzekło, bo nazywali Bobo The Champ, a on w barze zamówił kolejkę dla wszystkich. Przez chwilę stał otoczony wianuszkiem facetów, opowiadając o sobie, a my z Mannim siedzieliśmy skuleni nad kuflami przy stoliku w kącie i czekaliśmy. W końcu nadszedł Bobo, podniecony i uśmiechnięty, rzucił w nas pieniądze i dodał:

– Ile jestem wam krewny? A może mam spadać?

Miałem cichą nadzieję, że Bobo przeprosi Manniego, wydawało mi się, że jest mu to winien, ale nie było na

to cienia szansy. Za to wrócił mu dobry humor, pogwizdywał, głośno się zachowywał, a kiedy kupowaliśmy bilety na dworcu autobusowym, uszczypnął Manniego w pośladek.

– Psestań! – syknął Manni, a Bobo roześmiał się i odezwał się, przedrzeźniając go:

– Pseeestań!

Manni zaczął żałować, że zabrał Bobo w tę podróż. Zwierzył mi się z tego, kiedy czekaliśmy na autobus, a Bobo oddalił się na chwilę.

– Przecież to ty się uparłeś, żeby z nami jechał – powiedziałem.

– Tak, ale skąd człowiek mógł wiedzieć, że z niego zrobił się taki świrus – powiedział złośliwie Manni i lekliwie rozejrzał się dokoła, jakby bał się, że ktoś podsłuchuje. – A może cała ta wyprawa to jeden wielki błąd!

– Co się stało, to się nie odstanie – odparłem.

– Tak, a niby dlaczego nie? – oponował Manni. – Mamy na garnuszku świrniętego faceta. – Potem zamilkł, przygryzł dolną wargę i gapił się w podłogę przez grube szkła okularów, bo oto zbliżał się Bobo.

– Co, strasznieście kinole pospuszczali – zauważył. – Coś się stało? – Wyciągnął gazetę i ze śpiewem na ustach zaczął ją czytać.

Autobus ruszył w drogę. Rozgościliśmy się na tylnym siedzeniu, a Bobo rozciągnął się między nami i dalej snuł opowieści. Nawijał bez przerwy. Dzwonił sygnalem o pustą puszkę po piwie. Teraz opowiadał anegdoty bilardowe; Manni nie zgrzytał już zębami, ale i nie pokrzykiwał, że są znakomite; próbował nawet się nie

śmiać, bez rezultatu jednak. Bobo opowiedział historijkę o ojcu rodziny, który był namiętnym bilardzistą, co miesiąc przegrywał całą ciężko zarobioną wypłatę, więc żona zabrała dzieciaki i odeszła od niego. I gdy trapiomy nałogiem facet bliski był już przegrania wszystkiego, postanowił nigdy więcej nie brać kija do ręki. Uroczyste słowo. Uwierzył w Boga. Co drugą niedzielę spotykał się z dziećmi. Zabierał je na lody, hot dogi i do kina. Którejś niedzieli nie miał ani grosza. Po prostu tak się złożyło. Nie chce, oczywiście, żeby dzieciaki się dowiedziały, w jakim znalazł się położeniu i dzwoni gdzieś, żeby załatwić parę groszy na bilety do kina, ale bez powodzenia. W końcu zjawia się w śródmieściu z dziećmi i zaczyna rozglądać się po salonach bilardowych. Wreszcie każe im chwilę poczekać, wchodzi do salonu. Pół godziny później wychodzi z plikiem banknotów i zaprasza je do kina.

– I tak diabli wzięli przyrzeczenie – powiedział Bobo i odwrócił do Manniego. – Nie uważasz, że to nadzwyczajne? Kochany bobasek?

– No – zgodził się Manni.

– Wybacz, że tak się zachowałem, ale zawsze jestem zestresowany, kiedy pomyślę sobie, że mam się spotkać z tą moją hołotą.

Manni wybaczył. Znow zaczął się śmiać. A nie zapytał Bobo, dlaczego zawsze powtarza „kochany bobasek”, jakby mówił do niemowlaka.

Późnym wieczorem przybyliśmy do miasteczka, w którym osteplowano list od babci. Wzięliśmy taryfę i spyaliśmy o tani nocleg, a taksjarsz zawiózł nas prosto do YMCA. Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Mężczyzn.

– On myśli, że jesteśmy pobożni – zazartował Bobo, który wciąż dokazywał. Poprosił Boga, by błogosławił siedzącym w lobby. Kiedy weszliśmy na korytarz, na którym znajdował się nasz pokój, natknęliśmy się na kilku nastoletnich Murzynów, rytmicznie gimnastykujących się przy dźwiękach muzyki disco, płynącej z dużego jamnika. Bobo ich uciszył, przedstawił się jako misjonarz ze Skandynawii i namówił chłopaków, by zaśpiewali z nim *March On Christian Soldiers; Naprzód Rycerze Chrystusowi*. A ja z Mannim trzymaliśmy się za brzuchy i sinieliśmy ze śmiechu, choć usiłowaliśmy przyłączyć się do tych żartów. Rozstaliśmy się z gimnastykami ze skautowskim pozdrowieniem na ustach i rzuciliśmy na skrzypiące łóżka wojskowe w naszym pokoju, który przypominał celę więzienną.